

Obojętność narasta z każdym dniem. Rozmowa z Piotrem Nowakiem

Nie wiem, jak ma wyglądać ten „nowy” świat. Nie chcę, aby zwyciężyły w nim racje neodarwinistów, ani nawet epikurejczyków – mówi Piotr Nowak, rozwijając myśli zawarte w artykule „J'accuse!” opublikowanym w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Corona-krisis”.

Rafał Kuczyński: Zacznijmy od tytułu. Na moje ucho nieco pretensjonalny...

Piotr Nowak (filozof, Uniwersytet w Białymstoku): Być może. Tyle że w swoim tekście – chcę to zaznaczyć na wszelki wypadek jeszcze wyraźniej – nie zajmowałem się ani wirusem, ani perspektywami walki z nim, ani też jego przypuszczalnym dobrowolnym ustępowaniem. Nie jestem ani epidemiologiem, ani politykiem, tylko filozofem i to na dodatek z zacięciem moralistycznym. Zresztą konserwatyści zawsze tak mieli. O ile myśliciele lewicowi zajmowali się głównie propagandą i tumanieniem ludzi, filozofowie konserwatywni znajdowali upodobanie w moralizowaniu, aż po nieprzyjemną dla nowoczesnego ucha jeremiadę. Ale zostawmy wszystkie te porównania. W sytuacji, w której nagle się znaleźliśmy, interesuje mnie przede wszystkim to, jak ludzie, którzy pakują się w ekstremalne sytuacje lub zostali w nie wepchnięci, odnoszą się do siebie nawzajem.

Na razie jeszcze tego dobrze nie widać, ale już pierwsze symptomy świadczą o tym, że wielu z nas zaczyna odnosić się do chorych i tych najbardziej zagrożonych chorobą tak, jak w czasach nazistowskich większość społeczeństw odnosiła się do dramatu mordowanych Żydów: „Być może dzieje się im krzywda, ale moja chata z kraja”. Dlatego też wziąłem wykrzyknik od Zoli skarżącego rząd Francji i społeczeństwo francuskie o antysemityzm wynikający wtedy z powszechnej obojętności. Również dziś mamy do czynienia z narastającą każdego dnia obojętnością, a nawet irytacją. Słysząc te same głosy zniecierpliwienia: „Dlaczego mam siedzieć w domu z założonymi rękami, skoro nic mi nie dolega. Poza tym jeśli udzieli mi się nareszcie ten wirus – a przecież ma on udzielić się większości populacji – to istnieje duża szansa, że akurat mnie nic się nie stanie. Natomiast przedłużająca się samoizolacja może okazać się dla mnie czymś znacznie gorszym od koronawirusa. Dostyc tego! Wychodzę!”.

No dobrze, ale chyba takiemu widzeniu rzeczy nie można odmówić racjonalności.

Mnie interesuje tylko to, jak łatwo odtwarzamy w stosunku do innych ludzi schematy zachowania całkowicie skompromitowane przez historię. Przecież człowiek ma nie tylko głowę. Chyba ma jeszcze trochę serca, prawda? Weźmy pierwszy z brzegu przykład: również dla mnie noszenie masek jest uciążliwe. Ale mimo to, nakładam je właśnie przez wzgląd na możliwy dyskomfort osób starszych.

No właśnie, przez dekady świat Zachodu starał się zedrzyć zasłony z twarzy muzułmanek. Dziś, w imię wyższej sprawy, wszyscy pokornie zakładamy swoiste „burki”. Czy to nie hipokryzja? Kto skrywa się za higieniczną maską?

Nie jestem wirusologiem, nie jestem lekarzem, nie wiem nawet, czy noszenie masek rzeczywiście powstrzymuje cyrkulację „korony”, czy tego nie robi. Pod tym względem słyszę sprzeczne głosy dochodzące nawet ze środowiska lekarskiego: jedni zalecają noszenie masek *en masse*, inni kwestionują ich umasowienie, podkreślając, że skuteczne są tylko maski specjalistyczne, a nie woalka czy piracka bandanka. To zresztą bez znaczenia. W kulturze, w której twarz zaświadcza o osobowej niepowtarzalności, czy też na której odciska się – jak chcą niektórzy – ślad Boga, nakładanie masek wydaje się nie do przyjęcia. Chyba, że zasadniczo zrewidujemy nasze wartości i umówimy się, że wartością główną ma być dążenie do przeżycia za wszelką cenę. Wtedy wdziwajmy nawet nikab. Pytasz o to, co kryje się za tymi wszystkimi woalkami. Z jednej strony „zoe”, nagie życie, które drży i lęka się wyłącznie o siebie, z drugiej zaś – poza nieodłącznym od takich sytuacji konformizmem – nieobojętność na to drżenie, uszanowanie, że ktoś, kto znajduje się w grupie ryzyka, lęka się o własne życie. Czy mam mieć mu to za złe? Nie mam prawa przejść obok tego drżenia obojętnie! Gdy wychodzę z domu, nakładam więc maskę, choć osobiście uważam to za zachowanie mało rozsądne.

W twoim artykule zaznacza się wyraźny podział na aktorów i widzów bieżących wydarzeń. Czy swe moralne wezwanie kierujesz do dzisiejszych sędziów, czy beztroskiej gawiedzi? A może jego adresatem są właściciele „karuzeli”?

Niech przeczyta go każdy z nich, może im nie zaszkodzi. Obawiam się jednak, że młodzi w ogóle nie będą czytać tego tekstu, a jeśli go przeczytają, nie odniosą do siebie. Raczej popędzą gdzieś dalej i nic ich w tym nie zatrzyma. Właściciele „karuzeli” – znam kilku osobiście – już bardzo się niecierpliwia, liczą straty, przeliczają wszystko na pieniądze. Zresztą coraz więcej osób tak robi. Spróbujmy objąć ich wspólnym mianem „epikurejczyków”.

„Epikurejczyk” nie będzie twierdził, jak robi to darwinista społeczny, że słabsi po prostu muszą wypaść za burtę, że chce tego od nas sama natura. On powie, że człowiek „61 plus” spełnił się już w życiu lub przynajmniej miał szanse na takie spełnienie. „Przeżył miłość – podążam za tokiem myśli współczesnego »epikurejczyka« – przeżył ojcostwo, pewnie mógł się nacieszyć wnukami, coś zobaczył, czegoś dokonał, coś po sobie zostawia. Oczywiście w poszczególnych wypadkach wygląda to bardzo różnie, ale mówimy o pewnej potencjalnej średniej – a przede wszystkim o szansie. Student, który dopiero się ożenił, życia zaledwie liznął, więc jakieś intuicyjne poczucie sprawiedliwości kazałoby właśnie jemu dać taką samą szansę”.

Przed laty w Muzeum Narodowym w Sztokholmie staliśmy przed szkicem obrazu Arthura Hughesa „The Knight of the Sun”. Pamiętasz może? Opowiadałem ci go wtedy. Rycerze nieśli na ramionach konającego księcia. Był młody jeszcze, swoje życie okupił w walce. On sam wydawał się odchodzić bez żalu. W podpisie obrazu stał dwuwiersz z George’a MacDonalda: „Better a death when work is done / Than earth’s most favoured birth”. Rzecz w tym, że nie da się *a priori* orzec, na jakim poziomie rozwoju duchowego osiągamy swoje optimum, kiedy możemy powiedzieć, że „work is done”. Jeżeli mówimy to za innych,

stawiamy się w miejscu bogów. Każdy niech wypowiada się w swoim imieniu, nie nam jest sądzić innych. Naprawdę nie zazdroszczę lekarzom.

Wyobraźnia sufluje mi jeszcze jeden obraz, który pochodzi od mojego ulubionego, jak wiesz, pisarza religijnego Wasilija Rozanowa. Gdy po wyjściu z cerkwi żarliwie modlącej się wiernej, spostrzegł on, że zostawiła po sobie kałużę łez, nagle zrozumiał, że w sumie to bez znaczenia, czy Bóg istnieje, czy Boga nie ma. Święty jest bowiem sam człowiek, który wierzy aż tak żarliwie, który aż tak głęboko potrafi przeżyć to, co święte. Powiem zatem tak: albo stawiamy sobie wysokie – najwyższe! – wymagania moralne i, spełniając je, określamy własne człowieczeństwo, albo zadowolamy się średnim („letnim”) poziomem istnienia i cywilizacyjnym regresem nie tylko w stosunku do najstarszych Greków, ale też do tego księcia, który wprowadzie poległ młodo, ale dobrze wiedział, co ma robić, jak żyć.

Nie, nie wolno nam powiedzieć: „ten się już nażył”, bo to nas samych wypacza, jak wypaczało urzędników z Judenratów, na przykład Rudolfa Kastnera.

Z tego co mówisz, wynika, że do godnego życia wcale nie potrzeba aż tyle, ile ma do zaoferowania cywilizacja współczesna. Z pewnością nie zależy ono od kolejnej pary butów, nowej tapety, czy od najnowszego smartfonu. A jednak w czasach zarazy rozbastwionemu naszą zachłannością demonowi gospodarki jesteśmy skłonni złożyć najwyższą ofiarę – ludzkie życie. Czy inny świat jest w ogóle możliwy? Co to za świat?

Powtórzę za Odo Marquardem: moralista nie jest ekspertem, tylko kaskaderem eksperta. Jest dublerem eksperta w sytuacjach nadzwyczajnych. Nie wiem, jak ma wyglądać ten „nowy” świat. Równie dobrze mógłbym wróżyć z zachowania świętych kur. Natomiast nie chcę, aby zwyciężyły w nim racje neodarwinistów, ani nawet epikurejczyków. Aby to lepiej zrozumieć, ustalmy naprzód, co kryje się pod pojęciem „odporności stada”, z której ten „nowy” świat ma się jakoby dopiero wyłonić.

Otóż stadna odporność na wirusa kształtuje się w warunkach, gdy już tak wiele osób jest uodpornionych, że jego dalszy transfer nie jest po prostu możliwy. Wyrobienie w sobie takiej odporności następuje przez przyjęcie szczepionki (której obecnie szuka cały świat) lub na drodze naturalnej. Innymi słowy, do czasu wynalezienia szczepionki selekcji dokonuje natura. Przetrwają tylko najsilniejsi, co w naszej cywilizacji znaczy: młodzi, ale też najlepiej sytuowani, a więc ci, którzy mogą, jak dawniej arystokracja, czas zarazy przeczekać w „letniej rezydencji”, gdzieś na ustroniu.

Zwróć uwagę, że w polskich mediach głównego nurtu rzadko znajdziesz informację o tym, że w Stanach ofiarami pandemii są osoby otyłe, ze zdiagnozowaną cukrzycą, albo kolorowi. Otyłość dziedziczy się. Otyłym jest się z wyboru, również jest się nim przez to, co się je. A je się zwykle to, na co kogo stać. „Junk food” to strawa biedoty. Wreszcie kolorowi giną wcale nie dlatego, że siedzą ścieśnieni w gettach (choć to im akurat nie pomaga), lecz przez charakter wykonywanej pracy, podejmowanej najczęściej w sferze usług publicznych. Metro, szpitale, parki, ulice. Ktoś to musi obsłużyć.

Czyli kryzys ten uderza w warstwy pod względem ekonomicznym najuboższe...

Nie przekonuje mnie do końca taki redukcjonizm. Tradycja chrześcijańska, twórczość Dostojewskiego, pisarstwo Rilkego, Leśmiana, czy Simone Weil, nakazują apologię „skrzywdzonych i poniżonych”. Nie ma w tym nic ze świeckiej filantropii i czułościowości, ponieważ imperatyw pomocy najbiedniejszym wynika wprost z Pisma Świętego. Tyle że osoby, o które tradycja ta nakazuje troskę, nie są „skrzywdzone i poniżone” pod względem materialnym, w sensie: że są one nie-bogate (choć często jedno z drugim idzie w parze). Maluczcy – jak Hiob – doznają krzywdy z powodu istnienia. Dlatego warto, jak myślę, chociaż na chwilę przystanąć wraz z nimi i zastanowić się nad ich losem, przeznaczeniem, bólem.

W takim razie z pewnością nie jest to czas ani dla biednych, ani dla starych ludzi, by sparafrazować tytuł znanego filmu. Mówiłeś już trochę o polityce „budowania naturalnej odporności stada”, jaką wobec dzisiejszej pandemii przyjęła część państw. Mając w pamięci eugeniczne rozwiązania wprowadzane jeszcze nie tak dawno w krajach skandynawskich, rodzi się obawa, że wirus odbierający życie zwłaszcza osobom w podeszłym wieku przyszedł w sukurs zwolennikom postępu. Nie chodzi nawet o obniżenie obciążeń finansowych państw przez odciążenie coraz mniej wydolnych systemów emerytalnych. Mam co innego na myśli. Czy nie sądzisz, że przyspieszenie wymiany pokoleniowej przez usunięcie z pola widzenia ludzi, którzy wciąż jeszcze tkwią jedną nogą w przeszłości, może sprzyjać niepamięci? Czy rzeczywiście starość nie ma przed sobą już żadnej przyszłości?

Od dziś – rozmawiamy 20 kwietnia – wolno już wchodzić do parków i lasów, niebawem będziemy mogli robić zakupy, wychodzić na rower. Wszystko jak dawniej. Myślę też, że wkrótce otworzą bary, kluby, restauracje, choć radykalnie zmieni się proksemika tych miejsc. Ale uniwersytety otworzą najpóźniej. Przekonasz się. Gdyby mieli otworzyć je teraz, w takiej postaci, w jakiej je zamknięto, mogłoby się okazać, że mamy do czynienia z nową, przeprowadzoną w nowych warunkach „Intelligenzaktion”. Jej ofiarami padliby starzy profesorowie, a w pierwszej kolejności Uniwersytet w znanym nam kształcie. Od lat jestem krytykiem Akademii, nie życzę jednak – co oczywiste – nikomu śmierci. Jeśli więc „wojna pokoleń”, to nie z użyciem instrumentów eugenicznych.

Zdalna szkoła, zdalna praca, zdalne życie – to nowe realia, do których – jak przekonują nas władze – musimy przywyknąć. Czy jednak człowiek zapośredniczony przez elektroniczne medium, to ten sam człowiek? Czym jest człowiek bez fizycznej bliskości innego?

To jakaś bzdura, z której musimy się jak najszybciej otrząsnąć. Parę razy otrzymałem już zaproszenie na party on-line. Nie skorzystałem. Na uniwersytecie prowadzę zajęcia zdalne. Do tej pory odnotowałem tylko jedną korzyść z tego stanu rzeczy. Bo oto studenci nagle odkryli, że na studiach należy czytać. Zajęcia w realu zawsze można było jakoś przesiedzieć, przebomblować. Tymczasem zdalnie egzekwuje się od nich ich przemyślenia. Zawsze na piśmie. A to oznacza wysiłek. Proszę bardzo, jaka nowość! Chyba jeszcze nigdy uczniowie i studenci nie chcieli tak bardzo wrócić do dawnej szkoły, do przerwanych zajęć. Im takie „wakacje” naprawdę nie są do niczego potrzebne.

Historia dowodzi, że większość ludzi, nieważne czy byliby to Rzymianie, Niemcy, Żydzi, czy Polacy, zawsze potrafiła względnie łatwo przełknąć gorzką pigułkę współludziału w krzywdzie. Czyżby była szansa, że teraz będzie inaczej?

To zależy od tego, ile osób umrze, od liczby ofiar. I od tego, czy weźmie w nas górę cynizm i zapomnienie, czy współczucie. Jeśli, jak mówią niektórzy epidemiolodzy, depopulacja ma sięgnąć w skali danej zbiorowości plus minus jednego procenta, to wszystko dopiero przed nami. Czy dwieście, trzysta tysięcy ofiar „korony” w Polsce to dużo, czy mało? Proponuję, aby takie szacunki każdy przeprowadzał na własną rękę.

Rozmawiał Rafał Kuczyński („Kronos”)

Przeczytaj artykuł *J'accuse!* z „Teologii Politycznej Co Tydzień” nr 211

Zobacz „211 numer Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Corona-krisis”

Foto: Wikimedia Commons